

Tajemnica sięgająca początków chrześcijaństwa

FRÉDÉRIC LENOIR
VIOLETTE CABESOS



UTRACONE
SŁOWO

1

Nocne niebo było fioletowoniebieskie, barwy wielkich hortensji z angielskich ogrodów. Tu i tam majaczyły mroczne plamy drzew. Na północy za skupiskami pinii i palm wznosił się ciemny masyw góry, równie milczącej i uśpionej jak leżące u jej podnóża miasto.

Ciepłe powietrze przesycone jodem i wonią śródziemnomorskich aromatów nawet nie drgnęło. Nie było nadziei, by noc przyniosła trochę ochłodzenia.

Żadnego śladu życia na brukowanych uliczkach.

Żadnych nocnych odgłosów. Żadnego chrapania śpiącego człowieka, żadnego westchnienia całowanych ust.

Nic, tylko pustka umarłego miasta. Miasta fatamorgany, ale nie na pustyni, tylko w samym centrum Włoch.

Mieszkańcy opuścili je tak dawno temu, że ich domy nie miały już dachów.

Pośród tego pola ruin rzeźba kamiennej głowy na fontannie strzegła niebytu: Merkury w skrzydlatym hełmie, wysłannik bogów, patron zmarłych i podróżnych, wypatrywał czyjejkolwiek obecności.

Możliwe, że po uliczkach błąkały się widma ofiar kataklizmu, lecz jedyny ślad po człowieku przetrwał na freskach i w świątyniach, w których uwiecznione w brązie lub

na mozaikach królowały wizerunki umarłych bogów. Posągi, niegdyś otoczone czcią, miały stężale spojżenia i sztywność zmumifikowanych zwłok.

Dźwigary podtrzymujące stropy oraz prace konserwatorskie nie pozwalały domom do reszty się zapaść. Za sprawą przyrody i ludzi miasto wyglądało niczym teatr na wolnym powietrzu: jasna tarcza księżycy oświetlała żłobienia korynckich kolumn na Forum. Świątynię Izydy osłaniał częściowo dach z pleksiglasu; wielka plansza przedstawiała reprodukcje antycznych malowideł. Nazwy ulic zostały wypisane na współczesnych białych plakietkach i każdy odkopany dom otrzymał nawiązujące do jakiegoś wydarzenia imię. Teren wykopalisk został z naukową precyzją podzielony na kwadraty stref, wysepek zabudowań oraz numerów; żadna willa, żaden kram, żadne graffiti ani budowla nie ostały się przed ciekawością archeologów oraz fascynacją milionów turystów tłoczących się na tych brukowanych uliczkach od czasu odkrycia miasta ponad dwieście sześćdziesiąt lat temu.

W jednej z uliczek na styku piątej i szóstej strefy pojawiły się dwie sylwetki.

— Nie ma tu strażnika? — szeptem zapytał mężczyzna po włosku z niemieckim akcentem.

— To nie Zurych, tylko Neapol! — odpowiedziała z uśmiechem kobieta. — Tu nikt nie będzie płacił za pilnowanie kupy starych kamieni! A jeśli jakiś gorliwy urzędnik nie będzie miał nic lepszego do roboty, jak włączyć się tu po nocy, już ja będę wiedziała, co mu dać, żeby nas zostawił w spokoju — dodała, wymownym gestem sięgając ręką do torebki.

— Tak tu ciemno... A to co? — zainteresował się mężczyzna, wskazując latarką elektryczną rozległy płaski teren, najeżony palikami i porośły kołyszącą się na wietrze roślinnością.

— Pola, które wynajmuje mój brat — wyjaśniła Włoszka.

— To od niego mam klucze... Turyści nigdy nie zapuszczają się tak daleko, ale warto wiedzieć, że nie wszystko jeszcze zostało odkryte! Całe hektary ziemi trzymają dla przyszłych pokoleń, jak mówią. A na razie my tę ziemię uprawiamy... i to jaką ziemię, o bogowie! Drugiej tak urodzajnej nie uświadczysz nigdzie. Wetknie się w nią kamyk, a wyrośnie figowiec. Czasami mówię sobie, że to wszystko rośnie na szkieletach, że korzenie czerpią pożywienie z ludzkich kości, no, ale cóż... Tym tutaj przynajmniej, pokój ich duszy, nikt nie zakłóca spoczynku. Chodźmy, już niedaleko.

Doktor Ziegemacher, znany kardiolog z Zurychu, ruszył śladem Giny dróżką biegnącą wzdłuż pól, a potem kamiennych ruin. Z czasem Włoszka przywykła, przestała się już tak bać tego miejsca i starała się traktować je po prostu jako miejsce pracy. Pewnie, trudno je porównać z pokojami hotelowymi, w których najczęściej oferowała swoje usługi; było mniej wygodne, ale bardziej egzotyczne, a przede wszystkim dawało lepszy zarobek. Wpadła na ten pomysł dwa lata temu, próbując stawić czoło konkurencji z Europy Wschodniej. By rywalizować z młodocianymi jasnowłosymi patyczakami, pulchna trzydziestosześcioletnia Gina musiała zaproponować swoim klientom, turystom odwiedzającym te okolice, coś nowego. I to nowe znalazła w liczących co najmniej dwa tysiące lat ruinach. Komu na widok sugestywnych fresków i kamiennych ławek słynnego lupanaru nie zamarzyłoby się trochę podobnych akrobacji? I Gina takie akrobacje ofiarowywała na miejscu i pod osłoną nocy, oczywiście za stosowną opłatą. Dotychczas tylko ona świadczyła podobną usługę; inne dziewczyny za bardzo się bały włóczyć po Pompejach nocą. Z początku miała uczucie, że nieustannie obserwuje ją jakiś niewidzialny strażnik, śledzący każdy jej ruch. Powtarzała sobie, że duchy nie istnieją, ale nie mogła przestać myśleć o tych wszystkich mężczyznach, kobietach, a zwłaszcza dzieciach zaczadzonych w piwnicach, spalonych

żywcem na ulicach, tych właśnie, po których teraz chodziła, i nawet jeśli wybuch Wezuwiusza nastąpił prawie dwa tysiące lat temu, całe to cierpienie musiało pozostawić ślady do dziś wyczuwalne w atmosferze i w murach męczeńskiego miasta. A zresztą czegoż innego szukały te dwa miliony turystów rocznie, jeśli nie tych właśnie ponurych reliktyw gwałtownie przerwane go życia? Czy zjeżdżaliby z całego świata, gdyby Pompeje, jak wiele innych osad na południu Włoch, padły ofiarą odpływu ludności wiejskiej, a nie pewnego letniego dnia zostały brutalnie wykreślone z mapy?

Gina powoli przywykła do niesamowitości scenerii. Niektórych klientów w tych budzących dreszcz niepokoju uliczkach ogarniał strach, ale akurat taki skok adrenaliny w jej pracy był raczej korzystny.

— Nigdy tu pani nikogo nie spotkała? — dopytywał się Szwajcar, niespokojnie zerkając zza okularów.

Jego również, podobnie jak wielu innych, Gina złowiła w hotelowym barze. Siedział smętnie, kiedy go zaczęła zagadywać; ale kiedy zaproponowała mu swoją specjalną usługę, nieco pogardliwy chłód, z jakim ją dotąd traktował, ustąpił miejsca ciekawości, a potem ekscytacji. Pompeje nocą! O tej porze nigdy tam oczywiście nie był. Pompeje odwiedzone ukradkiem, Pompeje tylko dla niego! Pompeje z prostytutką, w antycznym lupanarze! Fizycznie dziewczyna była zupełnie nie w jego typie, ale wstał, żeby z nią pójść.

— Owszem, raz natknęłam się na jakiegoś stukniętego organizatora czarnych mszy, innym razem na złodzieja skamieniałych szkieletów — odparła nie bez złośliwości Gina.

— Och... — stęknął blady i spocony z przejęcia lekarz.

Czuł pospołu lęk i podniecenie kontrastujące z jego zwykłym spokojem, poza tym, gdy miał akurat do czynienia ze swoją obecną żoną, swoimi dwiema eks lub czwórka swoich dzieci.

— Uwaga na materac! Niech go pan nie upuści!

Zamówiła uszycie pośłania dokładnie w takim rozmiarze

jak kamienne łóżka, które w rzeczywistości były bardzo krótkie i wąskie. Doktor Ziegemacher, mężczyzna szczupły i dobrze zbudowany mimo sześćdziesiątki na karku, z kurtuazją podjął się poniesienia owego narzędzia pracy. Teraz, z materacem pod pachą, czuł się coraz mniej ożywiony i coraz bardziej nieswojo w umarłym mieście. W poświęceniu księżycy i pośród ciężkiej ciszy kamieni miał wrażenie, że dopuszcza się profanacji grobu.

W końcu, nie spotkawszy po drodze żywej duszy, skręcili w jedną z uliczek i zatrzymali się przed dawnym lupanarem, jedynym dostępnym dla turystów spośród trzydziestu czterech domów publicznych działających w Pompejach. Ten za dnia najczęściej odwiedzany budynek, nieustannie obłożony przez tłumy ciekawskich zerkających spod oka na erotyczne freski, nocą był pusty i zamknięty na klucz. Gina weszła po schodkach, wyjęła pęk kluczy i otworzyła drzwi.

— A wie pan, dlaczego to miejsce nazywa się lupanar? — zapytała. — Jeden z klientów mi kiedyś wyjaśnił: nazwa pochodzi od łacińskiego słowa „wilk” i od wilczego wycia, jakim po zmroku dziewczyny wabiły mężczyzn...

— Tak, wiem, od *lupus* — odpowiedział z lekkim rozdrażnieniem Szwajcar.

Popatrzył na pięć pojedynczych boksów: w każdym znajdowała się kamienna kuszetka długości około metra siedemdziesięciu, z podwyższeniem na wysokości głowy. Gina gestem ręki pokazała, żeby sam wybrał. Doktor Ziegemacher wziął latarkę i wszedł do korytarza, w którym pełne wymowy freski osłaniały szklane tafle.

Dwa pomieszczenia po lewej, trzy po prawej. Nie mógł się zdecydować, więc upuścił materac, otarł czoło, po czym omiótł wiązką światła latarki każde po kolei pomieszczenie, jakby chciał przegonić stamtąd duchy. Nagle, na progu ostatniej komórki po prawej, aż podskoczył. Zbladł jak prześcieradło i odruchowo się cofnął.

— Co się stało? — zdziwiła się Gina. — Wygląda pan, jakby ujrzał ducha któregoś z dawnych klientów!

A że Szwajcar nie odpowiadał, tylko stał przed boksem jak wrośnięty w ziemię, podeszła bliżej i krzyknęła.

W świetle latarki zobaczyła parę czarnych martensów, dwie nogi, tors, dwoje ramion i głowę spoczywające na posłaniu. Było to ludzkie ciało. Ciało nieruchome.

— A ten co tutaj robi? — zapytała Gina, w duchu gratulując sobie kompanii tak postawnego klienta. — Jak on się tu dostał? Może to kloszard, który przyszedł tu wytrzeźwieć?

Wciąż milcząc, lekarz przesunął snopem światła po grubych martensach, po wytartych dżinsach, po białej bawełnianej koszulce mężczyzny.

— Chyba raczej archeolog, który otumaniony upałem albo po jakiejś mocno zakrapianej imprezie chciał uciąć sobie drzemkę! — poprawiła się Gina.

Światło latarki dotarło do głowy. Gina znów wrzasnęła. Czaszka leżącego była zmiażdżona, poczerniała od zakrzepłej krwi.

— On jest, myśli pan, że on... — wybełkotała Gina, trzęsąc się ze strachu.

Doktor Ziegemacher już bez emocji, odzyskawszy zwykłe opanowanie i profesjonalną powagę, przykłęknął i precyzyjnymi ruchami wymacał puls leżącego, posłuchał serca, obejrzał rany na głowie.

— Tak — odpowiedział wreszcie. — Nie żyje. Od niecałej godziny.

Chłodno stwierdziwszy zgon, z biegłością lekarza sądowego kontynuował dalsze oględziny zwłok.

— To straszne — przemówiła Gina. — Od niecałej godziny. Czy to znaczy, że ten, kto go zabił, jeszcze się tu kręci? Może ukrył się gdzieś niedaleko, ma nas na oku i tylko czeka, żeby i nas sprzątnąć! W tych murach jest szalenciec! Musimy natychmiast uciekać!

Ziegemacher powoli wstał i omiótł światłem latarki całe pomieszczenie. Gina w panice złapała go za ramię. W lupanarze nie było nikogo, co stwierdził od razu po przyjściu, nikogo oprócz ich dwojga i zwłok nieznanego mężczyzny. Poczul zakradający mu się do serca głuchy lęk, ale postanowił wziąć się w garść, zachować dystans i zimną krew. Nie miał doświadczenia w takich sytuacjach, w końcu był kardiologiem, nie lekarzem sądowym.

— Proszę się uspokoić, przecież pani widzi, że nikogo nie ma — stwierdził, starając się, by jego głos zabrzmiał pewnie. — Nawet najbardziej szaleni kryminaliści, popełniwszy zbrodnię, biorą nogi za pas i nie oglądają się za siebie...

— A co niby pan może o tym wiedzieć? — odpowiedziała tonem, w którym wskutek okoliczności zabrzmiała nuta agresji. — Podobno jest pan lekarzem, nie gliną! A poza tym co zrobimy z karabinierami? Kto ich zawiadomi? O Madonno, no to wdepnęłam w niezłe gówno... a już udało mi się zejść im z oczu...

Złapała się rękami za głowę i rozplakała jak dziecko. Zakłopotany doktor Ziegemacher jeszcze raz przyjrzał się w świetle latarki zwłokom oraz otoczeniu.

Raptem dostrzegł jakiś napis. Na murze powyżej zakrwawionej twarzy białą kredą ktoś napisał: *Giovanni, 8, 1—11.*

— Niech pani spojrzy — zachęcił łagodnie swoją towarzyszkę.

— Co to jest? — między jednym a drugim szlochem wykrztusiła Gina. — Kto to jest? On jest Giovanni? To jego imię? Czy to imię... jego... mordercy, które zdążył jeszcze zapisać przed śmiercią?

Lekarz z namysłem zmarszczył brwi, po czym odpowiedział:

— Myślę, że to coś zupełnie innego. Nie ma pani przy sobie przypadkiem Biblii?

Gina przestała płakać i spojrzała na niego z

niedowierzaniem. Przez dwadzieścia lat uprawiania przez nią tej profesji był pierwszym klientem, który zadał jej takie pytanie.

2

— Na pewno nie jest ci zimno, Romane? Mogę wrócić do domu po twój płaszcz.

— Mamo, to jeszcze nie zima, nie potrzebuję grubego płaszcza...

— To jeszcze nie szadz, zgadzam się z tobą, ale powietrze jest już chłodne.

— Co to jest „szadz”, mamo?

— To mgła tak gęsta i zimna, że zamarza w czasie opadania; potocznie kojarzy się ją z sezonem zimowym.

— Ależ ty mnóstwo wiesz! Ja nigdy nie będę tyle umiała...

Matka się uśmiechnęła.

— Oczywiście, że będziesz! A nawet dużo więcej! Ale wiesz, co należy w tym celu robić, prawda?

— Tak, nie rozmawiać na lekcjach z Chloé. Uważnie słuchać, co mówi pani. I wykonywać jej polecenia.

Trzymając się za ręce, matka i córka wędrowały uliczkami miasteczka. Jedynym podobieństwem między nimi był kolor włosów, ciemnobrązowy, wpadający prawie w czerń, u matki obciętych krótko, na chłopczycę, u córki zaplecionych w długie warkoczki, owinięte wokół głowy i spięte nad uszami. Romane miała ciemną, niemal oliwkową karnację południowców znad basenu Morza Śródziemnego; skóra

Johanny była blada i piegowata. Oczy dziewczynki za szklami okrągłych okularów w czerwonej oprawie cechował piękny ciemnozielony odcień mieniającego się złotem szmaragdu, natomiast matka miała oczy nordyckie, jasnoniebieskie, szaro obwiedzione źrenice z wypukłością tęczówki, typową dla osób, które zamieniły szkła okularów na soczewki.

Wysoka, smukła, chociaż bynajmniej nie wątlej postury Johanna lekko, niemal niedostrzegalnie kulała. To utykanie było pozostałością po wypadku samochodowym, który sześć lat temu — kiedy jeszcze nie wiedziała, że jest w ciąży z Romane — na długie miesiące przykuł ją do szpitalnego łóżka.

— Mamusiu, przyjdiesz po mnie dzisiaj wieczorem?

— A czy zdarzyło mi się kiedykolwiek o tym zapomnieć, kochanie?

— Nie.

Przykucnąwszy przed córką, Johanna objęła ją i przytuliła.

— Romane — szepnęła małej do ucha — wiesz, że cię kocham, kocham najbardziej ze wszystkich na świecie.

— Bardziej niż babcię, bardziej niż dziadzia? Bardziej niż Hildeberta? Niż Isabelle? Niż Lucę?

— Bardziej niż wszystkich na świecie, bardziej niż siebie samą. Do zobaczenia, kochanie. Bądź grzeczna i pilnie pracuj...

Czule ją ucałowała, pogłaskała po policzku i po głowie, a potem patrzyła, jak dziewczynka z mieszanymi uczuciami dumy i obawy wkracza na dziedziniec szkolny. Córka przypominała Johannie jej własne dzieciństwo. Nie chciała, żeby udziałem Romane stały się te same lęki, jakie niegdyś ona sama przeżywała, tym bardziej że dziewczynka nie miała ojca. Dla Johanny nie stanowiło to problemu, od razu poczuła się na siłach podołać roli obojga rodziców. Ale brak ojca mógł fatalnie odbić się na rozwoju Romane. Dlatego też matka otaczała ją podwójną troskliwością, zarazem dbając, by nie wychować jej na zbyt rozpieszczone dziecko, niegrzeczne i krnąbrne wobec starszych.

Córka była częścią jej samej, na pewno lepszą częścią. To niechciane i nieoczekiwane dziecko stało się osią jej istnienia, sensem jej życia, którego przed sześcioma laty o mały włos nie straciła. Całą ciężę przeleżała w łóżku i z powodu drutów w biodrach po wypadku musiała małą urodzić przez cesarskie cięcie.

Trzydziestego pierwszego grudnia Romane skończy sześć lat. Idąc rue des Écoles w kierunku gmachu dawnego zakonu urszulanek, Johanna z zachwytem obserwowała jesienną mgłę spowijającą dolinę poniżej: z jej bladych oparów wynurzały się drogi na szczycie, a dzwonom bijącym w kościele Asquins wtórowały dzwony z kościoła Saint-Père na drugim zboczu wzniesienia... Była szczęśliwa, że znalazła pracę w takim miejscu. W Paryżu Romane z racji daty urodzenia jak nie trafiłaby na listę rezerwową i prawdopodobnie czekałby ją dodatkowy rok przedszkola przed rozpoczęciem nauki w zerówce. Tu przynajmniej nie traciła roku szkolnego, klasy nie były przepełnione, a poza tym w miasteczku liczącym ledwie pięć tysięcy mieszkańców córce nie groził kontakt z przemocą, nieuchronnie związaną z życiem wielkich miast. Romane jest bezpieczna, rozmyślała Johanna, wchodząc na dziedziniec. Wygląda na zadowoloną, mimo że prawie nie widuje już dawnych koleżanek. Zresztą od kiedy zaprzyjaźniła się z małą Chloé, coraz rzadziej wspomina Paryż. Tutaj ma przestrzeń, świeże powietrze i własny ogród. Tak, Romane jest szczęśliwa... jak to dobrze, że przyjąłam tę pracę. W końcu to tylko rok...

Przystanąła, żeby posłuchać krakania gawronów i pisku jaskółek oraz poobserwować ich balet na niebie, a potem przeniosła wzrok na bazylikę.

Jej spojrzenie spoczęło na centralnej, gotyckiej części fasady, mocno kontrastującej z resztą romańskiego zespołu. W ostrołuku z ogromnym oknem pośrodku stały rzeźby świętych, aniołów, Matki Boskiej, świętej Marii Magdaleny i Jezusa.

Otoczające z obu stron to trzynastowieczne centrum elementy romańskie były niesymetryczne i uszkodzone. Północną wieżę po lewej stronie, którą Eugène Viollet-le-Duc w dziewiętnastym wieku zwieńczył dachem w kształcie piramidy, uszkodziło uderzenie pioruna. Na południowej wieży Świętego Michała, sięgającej trzydziestu ośmiu metrów, pełne łuki otworów okiennych przeplatały się ze ślepymi arkadami aż po najwyższą końcową balustradę, którą architekt umieścił na szczycie dzwonnicy, zastępując nią ośmioboczną drewnianą iglicę, spaloną w wielkim pożarze w tysiąc osiemset dziewiętnastym roku.

Johanna wpatrywała się w wielki tympanon zewnętrzny z mieszanymi uczuciami smutku, podziwu i rezygnacji. Romańskie rzeźby najpierw w okresie wojen religijnych ucierpiały od hugenotów, potem w osiemnastym stuleciu od rewolucjonistów. Zamiast je zrekonstruować, Viollet-le-Duc, dla którego bazylika była pierwszą realizacją, postanowił stworzyć nowe, imitujące stylistykę średniowiecza. I tak powstało nadproże przedstawiające epizody z życia Marii Magdaleny oraz scena Sądu Ostatecznego. Potępieni spadali w czeluści piekła po lewej, dobrzy podążali do raju po prawej. Pośrodku stał Chrystus w aureoli, z twarzą, której biel kontrastowała z zielonkawym zabarwieniem starego kamienia wapiennego stanowiącego budulec pozostałej części fasady.

Po raz kolejny westchnieniem skwitowawszy owo stylistyczne przekłamanie elewacji, Johanna poddała się niezwykle urokowi, jakim tchnął ten burgundzki kościół.

Czy z powodu burzliwej historii dawnego opactwa, kiedyś zarządzanego przez benedyktynów? Czy jego położenia na zboczu wzgórza drążonego podziemnymi prądami, wystawianego na wichry, burze i wielkie ludzkie namiętności, przez Rzymian nazywanego Górą Skorpiona? A może wynikało to po prostu z magii kamieni, która znów zaczęła na nią działać, z tego urzeczenia, które kiedyś ukształtowało jej

młodą duszę i sześć lat temu straciło moc.

Przez tydzień leżała wtedy w śpiączce; obudziła się z niej dopiero, gdy rodzice przewieźli ją ze szpitala w Avranches do Cochin, gdzie miała być operowana. Nadal nie bardzo mogła sobie przypomnieć, co było dla niej największą niespodzianką: czy to, że żyje, czy że jest w ciąży. Ale od tego momentu stare kamienie zeszyły na plan dalszy. Postanowiła walczyć o dziecko. Już w pierwszej sekundzie wiedziała, jak będzie miało na imię. W drugiej uzmysłowiła sobie, że ta dojrzewająca w jej brzuchu istotka stanie się dla niej wszystkim, tak jak teraz już ona była wszystkim dla niej.

Jak co dzień zasłuchiwała się w pogodną muzykę dzwonów świętej Magdaleny wtórujących dzwonom w dolinie i skinęła głową wapiennej, omszałej postaci na flance wieży Świętego Michała.

— Chwała Panu, pasterzowi dusz! — usłyszała za sobą głos.

Z uśmiechem odwróciła się i ujrzała ciemną wytartą burkę ze sztywnym kapturem, w pasie przewiazaną sznurem, spod której wystawały bose stopy w sandałach, dłonie pokryte wysuszoną piegowatą skórą i gładka łysa głowa z orlim nosem, z szerokim czołem, o zapadniętych policzkach oraz szarych oczach, zdumiewająco łagodnych, żywych i przenikliwych, mimo podeszłego wieku franciszkanina. On sam dosłownie ugiął się pod ciężarem wielkiego jutowego worka.

— Dzień dobry, ojcie. Co ojciec dźwiga? To zbyt ciężkie, proszę mi to dać.

— Nie ma mowy, moje dziecko, nie pozwolę się pozbawić tego ćwiczenia fizycznego, jedyne, na które mogę się jeszcze porwać! To szczapki do pieca, tak wiele nie ważą. Zapraszam na plebanię, napijemy się kawy.

Johanna nie mogła nie przyjąć takiego zaproszenia.

Spotkała starego zakonnika zaledwie kilka dni po przyjeździe do Vézelay, w czasie zwiedzania krypty bazyliki. W mroku

kaplicy wzięła burkę pochylonego mnicha za czarny benedyktyński habit i przez moment uznała to za przywidzenie, za miraż historii. Wkrótce potem zaprzyjaźnili się; choć duchowny nie należał do zakonu Świętego Benedykta, był człowiekiem o szerokich horyzontach oraz wielkim erudytą. Na cześć pierwszego brata żebrzącego, który z rozporządzenia Franciszka z Asyżu w tysiąc dwieście siedemnastym roku założył misję franciszkanów w Vézelay, zakonnik przyjął imię brata Pacyfika. Oprócz staroświeckiego uroku tego imienia Johanna odnajdywała w nim pokrewieństwo charakteru z innym starym mnichem, którego kiedyś знаła, zmarłym pięć lat temu bratem Placydem. Doceniała kojąca łagodność, prostoduszność oraz ogromną kulturę brata Pacyfika.

Wszedł pierwszy do zakurzonego, skąpo umeblowanego pomieszczenia, po sufit wypełnionego książkami. Zrzuciwszy swój ciężar na podłogę, postawił aluminiowy dzbanek do kawy na piecu, pełniącym jednocześnie funkcję kuchenki. Osiemdziesięcioletni brat mniejszy żył w niedostatku, który choć zgodny ze ślubami skrajnego ubóstwa, składanymi przez członków jego zakonu, bardzo jednak zasmucał Johannę. Za każdą wizytą starała się oddać mu jakąś przysługę, przynosiła sprzęty i wiktuały, by choć trochę polepszyć jego codzienny byt, starzec jednak wolał wypytywać ekspertkę od średniowiecza o jej pracę i projekty badawcze lub opowiadać jej o przeszłości Vézelay: stosunki mieszkańców La Cordelle, małego zakonu założonego w trzynastym wieku u podnóża góry, poza granicami miasta, z benedyktynami z opactwa Świętej Marii Magdaleny bywały burzliwe i gwałtowne; ascetyzm franciszkanów kłócił się bowiem z dostatkiem i żądzą władzy czarnych mnichów. Brat Pacyfik i Johanna uwielbiali ożywiać te średniowieczne epizody i oboje świetnie się wtedy bawili.

— W La Cordelle wszystko dobrze? — zapytała.

— Wciąż trwają na posterunku — odrzekł zakonnik,

wyjmując dwie filiżanki i cukiernicę. — Niedawno przyjechało dwóch pięćdziesięcioletnich młodzików, to dobrze.

Brat Pacyfik miał dwadzieścia pięć lat, kiedy w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym znalazł się w La Cordelle. Przez czterdzieści lat franciszkanie administrowali dwunastoma parafiami w dolinie Cure, a przede wszystkim wielkim kościołem. Stary mnich uwielbiał opowiadać o tym najwspanialszym okresie swojego życia, o braciach mających szerokie horyzonty oraz różne urocze dziwactwa, rozkochanych w kamieniach tego gmachu, o które troszczyli się jak o świętą lub kochankę.

Do dziś opłakiwał swojego ówczesnego towarzysza, czarnego gwarka, którego nauczył nie tylko mówić, ale również recytować po łacinie *Ojciec nasz*. Ptak nagle wyzionął ducha w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku, kiedy franciszkanie pozostawili bazylikę młodszemu zakonowi, sami zaś rozjechali się po świecie lub wrócili do La Cordelle. Brat Pacyfik pochował uczonego gwarka pod wielkim drzewem przy kościele. A ponieważ nie mógł zmusić się do rozstania z kościołem Świętej Marii Magdaleny i ze wzgórzem, nowi gospodarze bazyliki pozwolili mu zająć jedno z pomieszczeń wielkiej plebanii obok kościoła. Wieczorami wracał do La Cordelle, lecz codziennie rano przychodził, by modlić się w krypcie i studiować księgi w swoim pokoiku przy kościele.

— Co słyhać u naszej małej Romane? — zapytał.

Rozmawiali o życiu codziennym, o miasteczku, o pracy Johanny. Nagle, zbierając się już do wyjścia, młoda kobieta zauważyła jakąś ogromną księgę leżącą na taborecie. Podeszła bliżej i stwierdziła, że to dzieło w języku greckim.

— Nie wiedziałam, że zna ojciec również grekę! — zawołała.

— To *Enneady* Plotyna. Cudowna rzecz... *Dusza jest i staje się tym, co ogląda* — zacytował. — Noszenie drewna służy ciału, ale lektury po łacinie, grecku i hebrajsku utrzymują w

kondycji ducha!



Kilka minut później Johanna wkroczyła do bazyliki w Vézelay. W półmroku, ledwie rzuciwszy okiem na wielki wewnętrzny tympanon kruchty, autentycznie średniowieczny i romański, w przeciwieństwie do tympanonu zewnętrznego, którego piękno przyciągało tysiące turystów i pielgrzymów z całego świata, minęła mały kiosk z widokówkami, weszła po schodach na górę, wyjęła klucz, otworzyła drewniane drzwi i znalazła się na górującej nad kościelną nawą galerii niedostępnej dla publiczności.

Wychyliła się i spojrzała na kamienną romańską nawę zwieńczoną gotyckim chórem, arcydzieło trójwymiarowości, spokoju i światła, po mistrzowsku zrealizowane przez rzemieślników średniowiecza i dziewiętnastowiecznych konserwatorów. Położywszy dłoń na kapitulu kolumny zdobiącej galerię, z czułością pogłaskała głowę kamiennej figury. Postać w fałdzistej todze i w płaszczu dzierżyła w rękę włócznię, którą wbijała w paszczę fantastycznego potwora, jednocześnie przygniatając go stopą do ziemi. Johanna powiedziała kilka słów do zwycięzcy smoka, chrześcijańskiego anioła wojny i zmarłych, przewoźnika ich dusz w zaświaty. Nie była wierząca. Jednakże tego właśnie dnia, dwudziestego dziewiątego września, w dniu świętego Michała, za nic w świecie nie zapomniałaby o modlitwie. Dla Johanny święty Michał to nie wyobrażenie religijne czy mityczne. Bezcielesny z racji swojej natury i funkcji archanioł był czystym duchem, ale jej wydawał się bardziej cielesny od samego Chrystusa, symbolizującego przecież przyobleczenie w ciało. Święty Michał, w przeciwieństwie do Jezusa, nie był postacią historyczną. Mimo to w sercu Johanny istniał naprawdę, ponieważ stał się częścią jej prywatnej historii. Mieszkał po drugiej stronie kraju, w Normandii, na magicznej górze, którą

dawniej ludzie nazywali Wzgórzem Cmentarnym. Tam, na tej właśnie „Górze Świętego Michała w morskim niebezpieczeństwie” Johanna mieszkała, pracowała, kochała, walczyła i sześć lat temu omal nie straciła życia. Jednak patron tego miejsca nie przestał nad nią czuwać. Pozostał jej przewodnikiem i wybawcą. Nikomu nie przyznała się, że w głębi duszy uważała świętego Michała za najbliższego i najbardziej niezawodnego z przyjaciół, jakich kiedykolwiek miała.

Postanowiła wrócić tą samą drogą, którą tu przysła. Do swojego stanowiska pracy mogła dostać się przez transept i kapitularz, nie chciała jednak przeszkadzać w nabożeństwie, które niebawem się rozpocznie. Można rozmawiać z archaniołem, nie wierzyć w Boga ani diabła, ale rytuały należy szanować, pomyślała, obserwując postacie w jasnych albach wchodzące do nawy.

Zamieszkawszy na wzgórzu w Yonne, z zaskoczeniem stwierdziła, że podobnie jak w Saint-Michel obecność religijną w bazylice podtrzymywało głównie Bractwo Jerozolimskie wraz ze swoją młodzieżą, bielą habitów i bizantyjskimi psalmami. Podobieństwa z normandzkim wzgórzem na tym się nie kończyły i przez moment przemknęło jej przez myśl, że może to sam święty Michał wezwał ją do Vézelay. Potem z uśmiechem powiedziała sobie w duchu: Ejże, Jo, nie zaczynaj znów jak sześć lat temu, sama wiesz, jak to się skończyło! Nie zapominaj, że duchem tego wzgórza nie jest anioł, tylko kobieta, grzesznica i święta imieniem Maria Magdalena.